

Banksy śmieje się ze sztuki i z siebie

Dorota Jarecka 2010-11-13, ostatnia aktualizacja 2010-11-13 15:53:35.0

Od dziś w kinach "Wyjście przez sklep z pamiątkami" - wyreżyserowana przez słynnego graffitiarza brawurowa mistyfikacja, która okazuje się rzeczywistością

Czy to fabuła, dokument, czy mocumentary, który udaje kino dokumentalne, choć nim nie jest?

To tak naprawdę nieważne. Podobnie jak nie jest w gruncie rzeczy istotne, czy słynny brytyjski graffitiarz Banksy to jedna osoba, czy kilka, czy bohater filmu, streetartowiec występujący pod pseudonimem Mr Brainwash, istnieje naprawdę, oraz czy Thierry Guetta - jak brzmi prawdziwe (ale co to znaczy: prawdziwe?) nazwisko Mr Brainwasha - to on, czy ktoś inny. Oraz kto namalował te wszystkie obrazy, które pokazano na wystawie pana Brainwasha, i kto naprawdę nakręcił ten film.



Nikt już od filmu i sztuki nie wymaga prawdy, żyjemy wśród symulakrów, a cinéma vérité dawno już mało kogo obchodzi. Mamy teraz do czynienia z kinem-klamstwem, które dzięki otwartości w kłamaniu jest o wiele bardziej prawdziwe. Dlatego to, co zrobił w tym filmie Banksy, jest tak porywające.

O czym opowiada? Thierry Guetta, filmowiec amator, kręci film o streetartowcach w Los Angeles, wśród jego bohaterów jest m.in. Space Invader, francuski artysta, który anonimowo rozkleja na murach miast kolorowe mozaiki, czy słynny Shepard Fairey - ten od plakatu "Hope" z twarzą Obamy, który stał się amerykańską i globalną ikoną. A potem stał się przyczyną procesu, bo autor zdjęcia, na podstawie którego powstał plakat, dochodził swoich praw autorskich. To są postaci prawdziwe, tak jak i wydarzenia, w których biorą udział - przyjazd Banksy'ego do Los Angeles w 2006 r. i jego wystawa w jednym z opuszczonych magazynów w centrum miasta.

["Chloe", "Śniadanie do łóżka", "Niepowstrzymany", "Wyjście przez sklep z pamiątkami" - recenzują Magdalena Żakowska i Jacek Szczerba](#)

Tak, to ta słynna, relacjonowana przez media wystawa, na której Banksy oczywiście się osobiście nie pokazał i której lokalizacja była trzymana w tajemnicy jeszcze dwie godziny przez konferencją prasową. Prócz wielu obrazów i rzeźb nawiązujących szyderczo i złośliwie do pop-artu oraz do tradycyjnej sztuki "muzealnej" Banksy wystawił tam

pomalowanego w czerwono-złoty deseń słońca, na tle ściany pomalowanej w dokładnie taki sam wzorek. Wystawa świetnie się sprzedawała, stanowiąc początek komercyjnej kariery Banksy'ego i zarazem początek jego największego problemu, który - jak można podejrzewać - zmusił go do nakręcenia tego filmu.

No bo jak to? Niezależny i do tego obsesyjnie chroniący swą anonimowość artysta złapany w sidła komercji? Ten, który miał być krytykiem sytego, zadowolonego z siebie mieszczaństwa, teraz jest uwielbiany i do tego zasilany grubą forszą przez kalifornijskich milionerów? Przecież jeszcze niedawno na schodach londyńskiej galerii Tate Banksy pisał: "Mind the crap" (przekręcenie słyszanego w londyńskim metrze komunikatu: "Mind the gap"). Głupia sytuacja, Banksy musiał jakoś z tego wybrnąć, więc nakręcił film, który ma znamienity tytuł - "Wyjście przez sklep z pamiątkami". Tak się wychodzi dzisiaj z muzeum, rajy sztuki, świątyni wyższych uczuć - z tanim gadżetem w ręku. To satyra na tych, którzy pragną dostać się do katalogów muzeów, czyli m.in. na siebie.

Wracając do filmu - co w nim jeszcze jest prawdą? To, że w 2008 r., również w Los Angeles, niejaki Thierry Guetta, działający pod pseudonimem Mr Brainwash, także urządził wystawę. A wystawa ta, z której dokumentalną relację oglądamy pod sam koniec filmu, była swego rodzaju powtórzeniem, czy też lepiej powiedzieć: karykaturą wystawy Banksy'ego sprzed dwóch lat. Też była na niej masa instalacji i obrazów podobnie nawiązujących do pop-artu. Tylko że tytuł już nie był bardzo błyskotliwy - "Life is beautiful" - a prace na niej pokazane były podobne do tych Banksy'ego i jego kolegów streetartowców, tylko jakby gorsze, późniejszego gatunku. A szczerze mówiąc, niektóre zupełnie beznadziejnie, jak Elvis Presley, który zamiast gitary trzyma karabin maszynowy, albo portrety gwiazd popkultury w stylu Warhola, wszystkie w ciemnych okularach dokładnie takich samych, jakie nosi na wernisażu Thierry Guetta.

Ta wystawa to prawdziwy "crap". Jednak nikomu to nie szkodzi. Publiczność jest zachwycona, wystawa zaczyna się sprzedawać, jeszcze zanim zostaje otwarta. Guetta i jego ludzie (bo przecież nie on sam to wszystko namalował, prawdopodobnie nawet nie namalował nic) zgarniają kilkaset tysięcy dolarów.

Jak widać, intryga jest piętrowa. Co w pełni uzasadnia nazwę debiutującego razem z Banksym producenta tego filmu - Paranoid Pictures.

Dodam tylko, że tożsamości Banksy'ego nie poznamy do końca, jest on tylko jednym z narratorów, z twarzą ukrytą w cieniu. Za to możemy usłyszeć - choć także zniekształcony, jak w nagraniach świadków koronnych - jego głos. Jego komentarze nie pozostawiają wątpliwości, że to on jest reżyserem poruszającym zdalnie kukielką, jaką jest Guetta: "Andy Warhol powieiał obrazy, by pokazać, że nie mają znaczenia. Teraz dzięki Brainwashowi stały się one naprawdę bez znaczenia". Warto było zrobić całą tę mistyfikację, by coś takiego powiedzieć, prawda? A także by stworzyć logo Mr Brainwasha, jakim jest puszka farby w sprayu z napisem "Campbell condensed tomato spray", nawiązująca graficznie do słynnej "Zupy Campbell" Warhola.

Nawet jeśli Thierry Guetta jest żywym człowiekiem, który prawdopodobnie tak się właśnie nazywa i który być może rzeczywiście nakręcił kilometry taśmy dokumentalnej o amerykańskich streetartowcach, wystawa "Life is beautiful" jest już kreacją Banksy'ego na najwyższym możliwym do osiągnięcia poziomie mistyfikacji. Czemu służy? Jest oczywiście satyrą na świat sztuki, system rynkowy, głupotę mediów i uwikłanie w to wszystko żądnych sławy artystów.

Z tym że - uwaga - rynek sztuki wyjdzie z tej całej historii nienaruszony. Banksy dokonuje rzeczy niemożliwej, czyli udaje mu się zjeść ciastko i je mieć, ponieważ krytykuje rynek, ale jednocześnie nie powoduje obniżenia swoich akcji na nim. Nie wierzę w to, by ta satyra odstraszyła kolekcjonerów od jego sztuki, wręcz przeciwnie - sztuka artysty, który nie dość, że robi wspaniałe graffiti, ale jeszcze do tego świetne i dowcipne filmy, będzie poszukiwana nawet bardziej niż do tej pory.

Nie zmieni to też popularności i szacunku dla sztuki undergroundu u krytyków sztuki i kuratorów, którzy coraz częściej widzą w streetartcie po prostu sztukę, a nie jakąś jej poślednią gałąź.

W "Los Angeles Times" właśnie czytam zapowiedź nowej wystawy na ten temat w Museum of Contemporary Art (MoCA) w Los Angeles przygotowywanej przez nowego dyrektora muzeum Jeffreya Deitcha, który wcześniej w swojej galerii w Nowym Jorku pokazywał sztukę ulicy. Wystawa ma się odbyć w kwietniu 2011 r. i przerosnąć wszystko, co było do tej pory, również wyprodukowaną w San Francisco, a pokazywaną m.in. w Muzeum Sztuki w Łodzi wystawę "Beautiful Losers". Ma obejmować sztukę ulicy od lat 70. do dzisiaj, zarówno Banksy, jak i Space Invader otrzymają tam należne sobie miejsce.

Jeśli zatem ten film coś narusza, to dotychczas pilnie strzeżoną niezależność Banksy'ego. Film budzi pod jego adresem wyłącznie ciepłe uczucia, popieram go z całego serca. Z ostrożnością i samokrytyką przygląda się samemu sobie, by ostatecznie pokazać swój inteligentny i zabawny autoportret. Jeśli miał jeszcze jakichś wrogów, niewątpliwie kupi ich swoim dowcipem, wdziękiem i lekkością satyry, która prowadzi w rejony Monty Pythona i Woody'ego Allena.

Ale może też zdobyć sobie nowych wrogów. Bo są streetartowcy i grafficiarze, którzy po tym filmie mogą poczuć, że tracą rację bytu - skoro pokazuje ich działalność jako nieszkodliwą zabawę. W czym imieniu działa goniąca ich po ulicach i strzegąca czystości naszych murów straż miejska i policja? Porządku społecznego, władzy, systemu? Nie, to są po prostu ludzie, którzy nie chodzą do kina.